

Duchem Morza na Bornholm

Katarzyna Suchocka



Nowoczesny, 8-osobowy jacht żaglowy Bavaria 38 Cruiser o długości ponad 11 m i szerokości 3,82 m miał stanowić przez kolejne 5 dni rejsu nasz dom. Pozostało nam wierzyć, że ta niemiecka solidna konstrukcja sprawdzi się we wszystkich warunkach...

Wnętrze jachtu okazało się większe niż przypuszczałyśmy. Mesa (salon), dobrze wyposażony kambuz (kuchnia), miniłazienka z prysznicem i ciepłą wodą, 3 koje z pościelą, „kącik nawigacyjny” – wszystko w wysokim standardzie. Głową rodziny stanowił kapitan Juliusz „Julo” Kunicki,

bardzo doświadczony kapitan, co także dawało nadzieję, że my, obie „zielone” w żeglarskiej kobiecie, powrócimy do naszej rodzinnej Łodzi. Naszą żeglarską załogę tworzyli: Robert, Ula, Karol, Adam, Wiesia i ja. Przedział wiekowy: od lat dwudziestych do lat pięćdziesiątych wg mojej osobistej analizy. Ale wszyscy byliśmy młodzi duchem (morza).

Na pokładzie to ludzie są najważniejsi. Oni tworzą historię rejsu. Niezależnie od tego, w którym kierunku się płynęło, jak trudne były warunki pogodowe, to każdy z nas tworzył tę wyjątkową, niepowtarzalną atmosferę. 5 dni wystarczyło jednak, abyśmy się dobrze zintegrowali i wspólnie przeżywali niezapomnianą, żeglarską przygodę. I niekoniecznie

integracja musiała być połączona ze spożywaniem alkoholu jak to, niestety, niektórym się czasami wydaje. Julo był przeciwnikiem spożywania jakiegokolwiek alkoholu podczas pływania łodzią. I dobrze. Jak pomyślę sobie, jakie kłopoty miałyby załogę, gdyby panował sztorm, a ludzie na pokładzie byłiby „niedysponowani”, to rzeczywiście tak twarde stanowisko moim zdaniem jest jak najbardziej usprawiedliwione. W myśl przysłowia: „Daj palec, a utną ci całą rękę”, nawet piwo na pokładzie było tematem tabu. Co prawda, w skrzyniach pod pokładem oprócz nieograniczonych zapasów jedzenia, leżał zapuszkowany „Bosman”, to jednak jego spożycie odbywało się albo na lądzie, albo na łodzi w porcie.



Był 5 lipca 2010 r., kiedy Wiesia (moja mama) i ja dotarliśmy do mariny w Świnoujściu. Na widok naszego jachtu *Duch Morza* Wiesia zdołała powiedzieć jedynie: „I my na tej małej łupinie mamy płynąć na Bornholm?”. Przez głowę przemykały myśli, co my tu właściwie robimy...

CHOROBA MORSKA I PIERWSZA WACHTA...

Marinę w Świnoujściu opuściliśmy ok. godz. 20. W nocy z 5 na 6 lipca wiał dość silny wiatr (ok. 5–6 w skali Beauforta). Wiesia stała za sterem do północy, przyjmując pomoc towarzysza Roberta, który żeglował nie pierwszy raz. Baczenie ją obserwowałam, bo czekało mnie i Adama to samo zadanie od 4 do 8 rano. Moją przygodę za sterami zaczynałam od tzw. „psiej” wachty, czyli w najgorszych, wręcz nieludzkich godzinach. Obudziłam się na krótko przed 4 rano i od razu chciałam wyjść na pokład. Było mi już gorąco, a jeszcze musiałam ubrać się grubo w sztorciak, kamizelkę ratunkową, założyć getry, czapkę, rękawiczki, porządne buty. Bujało

niemiłosiernie i nawet zwykłe stanie „w pionie” było niemożliwe. Po tym, jak dostałam się na pokład i przypięłam linę od mojej kamizelki do trwałego elementu jachtu, poczułam się dużo lepiej. „Patrz na horyzont!” – ta rada doświadczonych żeglarzy pomogła. Co prawda, z powodu bujania na pokładzie trudno było ustać, twarz zalewały krople deszczu, a ja musiałam przez lornetkę wypatrywać statków, bojek i innych, mniej zidentyfikowanych dla „szczura lądowego”, obiektów, to jednak nie dopadła mnie najgorsza wersja choroby morskiej! Niestety, Wiesia i Michał oddali Neptunowi zawartość ostatnich posiłków. Mimo, że pod pokładem w skrzyniach leżały ogromne ilości jedzenia, rankiem 6 lipca nasze

śniadanie stanowiły, jakże nieoceaniczne, czekoladowe batoniki.

SVANEKE

Rejs ze Świnoujścia do pierwszego naszego portu, Svaneke, na północno-wschodnim krańcu wyspy, trwał 18 godzin. Po nocnych opadach deszczu praktycznie cała załoga po swoich wachtach miała przemoczone ubrania. To był mój chrzest żeglarski. Później mieliśmy piękną, żeglarską pogodę i słoneczne, ciepłe dni!

Marina w Svaneke oraz całe miasteczko urzekło mnie bardzo zadbanymi, odnowionymi domkami z czerwonymi dachami, wypielęgnowanymi ogrodami ze wspaniałymi krzewami różanymi. Z wieży ciśnień, na którą weszłam mimo zakazu, mogłam podziwiać

zabudowania, port i charakterystyczne wiatraki. Svaneke znane jest m.in. z produkcji wyjątkowych cukierków karmelowych w „Karamelleri” (sklep w marinie, aby żeglarze mogli uzupełnić stracone podczas wachty kalorie) lub wyrobów czekoladowych i pralin w „Svaneke Chokoladerei” (przy ul. Svaneke Torv 5), wędzarni ryb (Fiskergade 12), produkcji lokalnej ceramiki (Nansengade 4), ponad 100-letniej wędzarni regionalnych wędlin i mięsa, której produkty można znaleźć w większości sklepów spożywczych na wyspie. Popołudniem poleżeliśmy na miejskiej plaży, zwiedziliśmy siedemnastowieczny drewniany wiatrak a’la polski kozłak oraz czerwony, uroczy kościół ze starym cmentarzem. Wieczorem, jak przystało na





prawdziwych żeglarzy, odwiedziliśmy jedyny na wyspie browar Bryghuset (Torvet 5) i spróbowałamśmy wyśmienitego piwa Svaneke

Bryghus (jednego z 20 gatunków!). W marinie, na pokładzie *Ducha Morza*, spędziliśmy drugą noc naszego rejsu.

CHRISTIANSØ I FREDERIKSO

Po obfitym śniadaniu przyrzędzonym z pokładowych zapasów wyruszyliśmy w kierunku małego archipelagu wysp Ertholmene, znajdującym się 10 mil morskich (ok. 18 km) na północny-wschód od brzegów Bornholmu. Zaczumowaliśmy w małym porcie, który leżał między wyspami Frederikso (po lewej stronie kanału portowego) oraz Christiansø (po prawej). Wąski, żelazny most nad kanałem pozwalał na przemieszczanie się pomiędzy wyspami.

Zaglądnąwszy do kilku sklepów, widzieliśmy właścicieli sklepików, którzy patrzyli na nas jakby dziwili się, kim jesteśmy i dlaczego omieszkujemy przeszkadzać im w tej spokojnej sielance. Codzienne życie ok. 100 stałych mieszkańców nie należy jednak do

najłatwiejszych. Nie mogą budować nowych obiektów i hodować innych zwierząt niż świnki morskie, króliki, kury i gęsi, gdyż cały obszar wysp stanowi rezerwat przyrody. Miałam wrażenie, że cofnęłam się o kilkanaście wieków w przeszłość – obejrzałam małe, zabytkowe kamienne domki, fortece, armaty, baszty, mury obronne otaczające Christiansø, muzeum – dawne więzienie dla najcięższych przestępców na Frederikso. To wszystko potwierdzało ciekawą historię archipelagu. Siedemnastowieczny duński władca Christian V, od którego pochodzi nazwa największej wyspy Christiansø (22 ha) stworzył tu liczne fortece, twierdze i mury obronne, które miały chronić Danię przed atakami obcych flot. Jednak atak floty angielskiej, powodujący duże straty w ludziach i liczne uszkodzenia zabudowań poskutkowało tym, że wyspy straciły swoje militarne znaczenie i od 1863 r. nie ma na nich oddziałów wojskowych.

Pobył na Frederikso i Christiansø był pod wieloma względami wyjątkowy.

Bo kto by przypuszczał, że w skrzyniach na pokładzie *Ducha Morza* znajduje się piłka do gry w nogę, a Julio proponuje nam wspólny mecz na najprawdziwszym boisku z bramkami? Trzy godziny trwały rozgrywki, a każda udana lub mniej udana próba wpakowania piłki do bramki ożywiała każdego piłkarza. Po kilku nieudolnych próbach wbicia gola wydawało nam się, że nasza piłka zostanie na zawsze w otchłani morza i być może odnajdzie tego „Piętaszka” jakiś zagubiony Robinson. Co prawda nie mieliśmy widowni, ale zostaliśmy fanami samych siebie. Wspomnienia pozostały, bo



zdjęcia: z arch. K. Suchockiej

to był pierwszy mecz piłki nożnej, jaki rozegrałam swoim 29-letnim życiu i to w takich szczególnych okolicznościach przyrody! To był 7 lipca, czyli dzień meczu Niemcy-Hispania w ramach półfinału Mistrzostw Świata RPA 2010. Jakże wielkie było nasze zdumienie, gdy po włączeniu pokładowego telewizora usłyszeliśmy głos polskiego komentatora relacjonującego to spotkanie! Program TVP 1 mogliśmy odbierać nawet setki mil morskich od Polski!

Z powodu pogarszających się warunków pogodowych Julo zdecydował, że pozostaniemy na kolejną noc porcie. Bezchmurna noc sprawiała, że nikłe oświetlenie portu sprawiało wrażenie tajemniczości, chowania się przez turystami. Kilkanaście jachtów przy brzegach Frederikso i Christiansø odbijało się w tafli spokojnego portu.

Do wczesnych godzin porannych podziwialiśmy gwiazdzone niebo, totalną ciszę i swego rodzaju romantyczność, która opanowała (przynajmniej część) naszej załogi. Tu nie było wrzasków nieokielzanych turystów, rozpieszczonych dzieci oczekujących na każdym kroku jakiejś pamiątki. Była cisza, natura, woda i wiatr. Było po prostu pięknie!

HAMMERSHUS

Rankiem 8 lipca opuściliśmy archipelag i udaliśmy się w kierunku północo-zachodnim, wzdłuż północnego wybrzeża Bornholmu. Około południa zacumowaliśmy w bardzo spokojnym i jednocześnie uroczym małym porcie Hammerhavn. Razem z naszym przewodnikiem Julem odbyliśmy 2-godzinny wędrowkę wzdłuż

skalistego wybrzeża, podziwiając wspaniałe widoki na nadmorskie wysokie klify, jaskinie i bezkres Bałtyku. Celem naszej wędrowki były największe zachowane ruiny warowni w północnej Europie, pochodzące z początku XIII wieku (wstęp bezpłatny, co trochę mnie zdziwiło, gdyż jest to

i wyobrazić sobie codzienne życie ówczesnych mieszkańców. Kolejnym etapem naszej wędrowki był szlak wokół niezwykle malowniczego jeziora Opalson położonego w otoczeniu pionowych ścian skalnych. Szlak rozpoczął się przy brzegu jeziora i prowadził łagodnie w górę.



rys. J. Buczek

jedną z największych atrakcji na Bornholmie). Zamek zbudowano na zlecenie arcybiskupa z Lund (obszar dzisiejszej Szwecji), a przez kolejne wieki był w posiadaniu Danii, księstwa Lubeki i Szwecji. Rzeczywiście można było poczuć tu wyjątkową atmosferę dawnych czasów, a dzięki szczegółowym opisom dawnych pomieszczeń zamku poznać historię miejsca

Po ok. 30 minutach marszu doszliśmy do miejsca, z którego każdy pasjonat sportów ekstremalnych i miłośnik wysokiego poziomu adrenaliny znajdzie się w swoim żywiole. To stąd podziwialiśmy szalone zjazdy wyciągiem linowym z wysokości 50 m nad powierzchnią tafli jeziora, a każdy śmiałek „lądownał” bezpiecznie i zgodnie z planem w wodzie przy brzegu.

Samo oglądanie skoków powodowało u mnie wzrost adrenaliny! Niestety Hammerhavn był naszym ostatnim portem, który odwiedziliśmy. Rejs do Świnoujścia zajął nam tym razem 22 godziny, gdyż niekorzystny wiatr zmusił nas do obrania innego kierunku niż pierwotnie planowany. W godzinach południowych, w dniu 9 lipca zakończył się dla mnie pierwszy żeglarski rejs. Ale na pewno nie była to ostatnia przygoda na pokładzie *Ducha Morza*. Podczas rejsu poznałam nie tylko ciekawych ludzi, otwartych na świat, z pasją do żeglarstwa, zwiedziliśmy wyjątkowe miejsca, ale także nauczyłam się podstawowych pojęć związanych z jachtingiem. Przed rejssem nie miałam pojęcia, czym jest trymowanie, refowanie żagli, wybieranie cumy i szpringów, co to są knagi, grot itp. Po raz pierwszy od ukończenia nauki w liceum trzymałam w rękach linijkę, ekierkę i cyrkiel. Jak się dowiedziałam, owe przedmioty mają wyższe cele niż lekcje matematyki w szkole. Służą także do wyznaczania pozycji jachtu na mapie oraz kierunku płynięcia zgodnie z odczytem GPS. Dzięki Julo za podstawy nawigacji!

Na pokładzie nic się nie zmarnowało. Nawet niewypite soki owocowe w kartonach zmieszane przez Jula (sic!) z odpowiednim (czystym) alkoholem w marinie w Świnoujściu stanowiły rewelacyjne shakery do drinków, które każdy z nas dostał „na pamiątkę” i pożegnanie od kapitana. Na każdym opakowaniu Julo napisał „motto: „NA PAMIĄTKĘ REJSU NA POKŁADZIE JACHTU *DUCH MORZA*, GDZIE NIC SIĘ NIE MARNUJE”.

Do zobaczenia na pokładzie! ■